



Polityka - 2007-08-25

Dariusz Łukasiewicz

Książę Prymas zwąchał linę

Splątany obraz polskiego Kościoła

Temat agentów w Kościele towarzyszy nam od pewnego czasu, jest więc okazja, aby przypomnieć osiemnastowieczne problemy w tej materii. Dodatkowym impulsem jest książka Jarosława Marka Rymkiewicza "Wieszanie", opowiadająca o insurekcyjnej Warszawie 1794 r.

Aleksander Świętochowski pisał: "Nigdy i nigdzie nie było tylu sprzedajnych biskupów" - mając na myśli hierarchów polskiego Kościoła, znajdujących się na służbie obcych dworów u schyłku I Rzeczypospolitej. Ocenę tę potwierdzają "teczki", odkryte w zdobytej przez powstańców podczas insurekcji ambasadzie rosyjskiej. Wacław Tokarz pisał o tych materiałach jako o dowodach "systematycznej i długiej pracy poselstwa rosyjskiego nad znieprawieniem dusz w Rzeczypospolitej". Oto np. biskup Sierakowski skarżył się w liście do Osipa Igelströma (od końca 1792 r. był on naczelnym wodzem wojsk rosyjskich stacjonujących w Polsce, a w latach 1794-97 ambasadorem moskiewskim w Rzeczypospolitej), że chociaż jest pierwszym aktywistą konfederacji targowickiej, pomija się go w awansach. Biskup Massalski rekomendował swojego podopiecznego biskupa Józefa Kossakowskiego jako szczerze przywiązanego do Moskwy. Szwedzki poseł w Warszawie Johann Christopher Toll donosił 3 maja 1794 r.: "Mówi się powszechnie, że w papierach rosyjskiej ambasady znajduje się dużo danych, które w obecnej sytuacji mogą skompromitować wiele osób i dać powód do nowych aresztowań".

Kossakowski, Poniatowski, Massalski

9 maja 1794 r. wokół ratusza warszawskiego zebrał się kilkutyśięczny tłum, do którego przemawiał sekretarz Hugona Kołłątaja Kazimierz Konopka, nawołując do powieszenia zdrajców. Istnieją przypuszczenia, że była to akcja zorganizowana przez Kołłątaja, skądinąd księdza i jednego z najwybitniejszych umysłów tej doby. Przygotowane były żądania (wśród nich powieszenia zdrajców), które w obecności tłumy przekazano prezydentowi Warszawy Wyssogocie Zakrzewskiemu. Nie wiadomo, z jakiego powodu dokonano takiego wyboru, ale spośród dużej grupy aresztowanych wyselekcjonowano cztery osoby, wśród nich biskupa inflanckiego Józefa Kossakowskiego (1738-1794), i przewieziono z wieży prochowni do ratusza. Więźniowie przejść musieli przez szpaler uzbrojonego w kosy, piki i szable tłumy. "Biskup Kossakowski ze spuszczonej oczami, nachylony przechodził szeregi ludu".

Na parterze ratusza odbył się sąd w towarzystwie podnieconego ludu, który zaglądał do sali przez okna. Proces trwał zaledwie trzy do czterech godzin. Zarzut pierwszy mówił, że oskarżeni "zupełnie i całkowicie na usługi potencji zagranicznej obcej rosyjskiej zaprzędali się", a niektórzy z nich pobierali od dworu rosyjskiego pensje. Znalaziono kwity podpisane przez biskupa Kossakowskiego, że wziął od ambasady rosyjskiej za kwartał w 1789 r. 750 czerwonych złotych i w 1790 r. za kwartał 750 złotych. Kolejne oskarżenie głosiło, że przystąpił do konfederacji targowickiej na Litwie, trzecie, że był współsprawcą sejmu grodzieńskiego i przyczynił się do drugiego rozbioru Rzeczypospolitej, zarzut czwarty oskarżał postawionych przed sądem o bezprawne przywłaszczenie sobie różnych tytułów w Rzeczypospolitej, a piąty powtarzał innymi słowami zarzut pierwszy. Na koniec ogłoszono wyrok, skazujący wszystkich obwinionych na śmierć przez powieszenie. Wyrok odczytany został ludowi, który zareagował entuzjazmem i oklaskami.

Powieszono następnie Kossakowskiego do kościoła Bernardynów, aby zdjąć z niego święcenia kapłańskie. Kiedy prowadzono go do szubienicy, tłum szarpał go, bił, pluł na niego, zdierał z niego odzienie, ale biskup na to nie reagował. Krzyczał za to przez całą drogę, że obok niego zawisnąć powinni inni. Wspominał biskupa płockiego Szembeka, biskupa poznańskiego Okęckiego i prymasa Polski Michała Poniatowskiego. Niektórzy twierdzą nawet, że domagał się powieszenia króla. Kiliński utrzymywał, że biskup był w szlafroku, ale dzielnemu szewcowi nie bardzo można wierzyć. Źródła natomiast zgodnie przyznają, że pod szubienicą rozebrany został do samej tylko bielizny. Kitowicz twierdzi, że brudnej. Kat nałożył biskupowi szelki i podciągnął go pod szubienicę, gdzie założył mu na szyję stryczek. Reakcją tłumy, czy raczej tłuszczy, na dokończenie dzieła były śmiechy, wiwaty, wystrzały, brawa, okrzyki "Vivat!" i "Niech żyje rewolucja!". Nieznajomi mieli padać sobie w ramiona i serdecznie się ścisnąć.

Biskup inflancki poza tym, że był zdrajcą, był też działaczem oświeceniowym. Napisał dwie powieści, w których zachęcał do modernizowania Polski i jej upodobnienia do Europy. Opiewał reformę szkolnictwa i głosił potrzebę edukacji ludu. Należał do mniejszości wychodzącej poza wąskie horyzonty myślowe sarmackiego zaścianka. Ale...

Za zdrajcę lud Warszawy uważał również królewskiego brata, prymasa Polski Michała Poniatowskiego (1736-1794). Stanisław August przerażony pisał do Kościuszki, że na ulicach stolicy słyszy się piosenkę, w której padały słowa: "my krakowiaci nosiem guz u pasa, powiesiem sobie króla i prymasa". W liście rosyjskiego ambasadora (w latach 1792-93) Jakoba Johanna Sieversa do Igelströma prymas zaliczony został do ludzi "niezłomnie wiernych" Imperium. Igelström podobnie pisał o nim do carycy, stawiając go na równi z Józefem Kossakowskim. Michał Poniatowski nie tylko zgłosił akces do targowicy, ale też pierwszy zachęcał do kapitulacji króla. W październiku 1793 r. spotkał się z Fryderykiem Wilhelmem II i krążyły plotki, że stał się teraz zagorzałym stronnikiem Prus.

W nocy z 27 na 28 czerwca 1794 r. przed pałacem prymasa postawiono szubienicę. Jej widok, mówi jedna z wersji opowieści, miała przyprawić prymasa o takie przerażenie, że umarł. Inna powiada, że rodzina królewska w zaistniałej sytuacji postanowiła ułatwić krewnemu godną śmierć i podała mu truciznę. Lud warszawski podsumował to wierszykiem: "Książę prymas zwąchał linę, wolał prosek niż drabinę". Mówi się na przykład o tym, że król dał zażyć bratu tabaki, od której ten umarł w kilka dni, albo że zjawił się u niego Kościuszko z dowodami zdrady i zostawił mu truciznę, którą ten zażył. Po Warszawie krążyła też pogłoska, że książę prymas uciekł, więc wystawiono jego zwłoki na widok publiczny. Twarz zmarłego była bardzo obrzękła, wobec czego przykryto ją zieloną chustą, jednak unieść mógł ją każdy odwiedzający. Jak pisze Rymkiewicz: "Mogła to zrobić każda kurwa zza Żelaznej Bramy".

Kolejnym agentem, ukaranym śmiercią, był biskup wileński Ignacy Massalski (1727-1794), powieszony 28 czerwca. Rankiem tego dnia pod pałacem, w którym był więziony, pojawiło się pospólstwo, którego liczbę oceniano na od kilkuset do kilku tysięcy. Straż w obliczu napierającego tłumy dała drapaka i lud stolicy wdarł się do więzienia. Pierwszym, na którego natrafiono, był biskup chełmiński Skarszewski (potem prymas Polski od 1824 r.), którego zostawiono w spokoju. Jedna wersja tego wydarzenia mówi, iż jeden z ludzi, którzy wpadli do celi, odezwał się w jego obronie, że to przyzwoity człowiek i by go nie ruszać. Druga wersja powiada, że kiedy wleczono go na szubienicę, biskup wykupił się oprawcom pieniędzmi, które miał przy sobie. Biskupa wileńskiego natomiast wzięto bez gadania, bo był najślynniejszym z moskiewskich jurgieletników. Massalski się opierał, więc go bito pięściami po głowie i poganiano. Że nie było pod ręką sznura, więc powieszono

go na końskich lejcach od stojącego w pobliżu wozu.

Tyle książka Rymkiewicza o wydarzeniach w 1794 r. Ale przecież agentów Moskwy wśród elit Kościoła było znacznie więcej.

Ostrowski, Młodziejowski, Podoski i inni

Po 1989 r. została przypomniana postać znakomitego kronikarza obyczajów polskich XVIII w. księdza Jędrzeja Kitowicza, a to dzięki opartemu na jego "Opisie obyczajów..." teatralnemu spektaklowi, obnażającemu wady narodowe Polaków. Otóż sam Kitowicz był protegowanym biskupa, później prymasa Polski Antoniego Ostrowskiego (1713-1784). Tenże, na garnuszku moskiewskim, wstąpił się czynnym udziałem w sejmie rozbiorowym 1772 r., gdzie przewodniczył obradom senatu. Bez miary pozwalał folgować swemu wybujałemu temperamentowi seksualnemu. Utrzymywał całą gromadkę ponętnych dziewcząt, które zajmowały skrzydło jego warszawskiego pałacu, zwane prymasiarnią. W kategorii biskupów potencją mógł z nim konkurować może tylko biskup Andrzej Młodziejowski (1717-1780), który zmarł z nadmiaru wrażeń, dotknięty paraliżem.

Ostrowski nie poprzestawał na zasiłku moskiewskim. Gdy nadarzyła się sposobna okazja - rozbiór Polski - uderzył również do króla pruskiego Fryderyka II, w liście do którego wyrażał nadzieję, "że po skończeniu sprawy Polski, zechce Wasza Królewska Mość kontynuować swe względy i dobroć, darząc mnie nieco większym dochodem z dóbr kościelnych".

Do prymasa Ostrowskiego dołączyć można by wielu innych duchownych zaangażowanych czy to na rzecz Rosji, jak naczelny kapłan Targowicy biskup Michał Sierakowski, wspomniany już biskup Andrzej Młodziejowski, prymas Gabriel Podoski (1717-1777), czy to Prus, jak biskup warmiński i arcybiskup gnieźnieński Ignacy Krasicki (1735-1801), ten od Bajek, "Monachomachii" i "Świętej miłości kochanej ojczyzny" - na pensji u Fryderyka II, oraz Ignacy Raczyński (1741-1823), który w 1805 r. dostał od Fryderyka Wilhelma III arcybiskupstwo gnieźnieńskie; w Księstwie Warszawskim widział on potem bezbożny twór francuski, wiodący naród do zguby.

Biskup Andrzej Młodziejowski ani razu nie odwiedził swojej diecezji przemyskiej. Obdarzał za to intensywnie względami kilka dziewcząt naraz, m.in. Jadwigę Rudnicką, Mariannę Działyńską, Antoninę Sułkowską, Kazimierę Łubieńską. Biskup Józef Kossakowski wszedł na rosyjską listę płac przez stolik karciany, którą to pasję dzielił z Ignacym Massalskim. W pamiętnikach usprawiedliwiał się, że nie był pijakiem, nie uganiał się za kobietami i pozostawała mu tylko niewinna pasja rżnięcia na wysokie stawki w wista. Gromów rzucanych przez macierzystą instytucję na hazardystów nie traktował poważnie. Podobno przez czterdzieści osiem godzin potrafił nie odchodzić od stolika. Kiedy nie szła mu karta, siedł odprawić mszę, ufając, że Pan Bóg mu się zrewanżuje dobrą kartą.

Jego główną namiętnością było nieograniczone podnoszenie własnych dochodów. Jak pisał historyk niezbyt poważny, ale zbierający znakomite anegdoty, Karol Zbyszewski, od papieża dostał dispensę od odmawiania brewiarza pod pozorem, że od czytania bolał go oczy. Zasłynął ze sporu z reformatorem Antonim Tyzenhauzem. Wraz z ambasadorem Stackelbergiem przyczynił się do jego klęski, usunął podskarbiego siłą z jego domu i zagrabił mienie. Podskarbi dopóki posiadał władzę, poczynił sobie wprawdzie jak typowy lokalny królik-despota i załaził Kossakowskim zdrowo za skórę. Jak pisze biograf Tyzenhauza Stanisław Kościółkowski, na procesie sądowym podskarbi wzywał pioruny, dlaczego nie biją w tę "nikczemną infulę". Pioruny jednak milczały, a biskup kupił część sędziów, wdychając "gdy prawo nie ma bronić ukrzywdzonego, zostaje się naówczas z prawa natury wolność własnej obrony, jaka się podać skutecznie może... Liczba deputatów składała się z 16 osób, 9 miałem zapewnionych...". Budynek świątyni Temidy otoczyły wojskiem miniaturowe armie dwu poważnionych królików, za nic mających praworządność. Na koniec biskup uzyskał wyrok, jaki mu dogadzał. Oskarżenie Tyzenhauza wycofano z akt sądowych.

Prymas Gabriel Podoski był znakomicie wykształcony, inteligentny, dowcipny, nosił się modnie po francusku i cierpiał na wstręt do duchownej sukienki. Z poglądów tolerancyjny aż po libertynizm. Jan Korytkowski powiada: "człowiek bez wiary, oddany namiętnościom i zimnym rachubom samolubnym". Władysław Konopczyński określa go jako "typ moralny, przy którym nawet dawny Radziejowski jaśniałby wzorem patriotyzmu". Wszystkie religie mają swoje blaski i cienie - mawiała głowa Kościoła katolickiego w Polsce - i co w nich najlepsze, to że każą nam miłować swoich bliźnich. Żył w konkubinacie z Niemką i protestantką, wdową po kupcu saskim, panią Öhmchen, której zwaliste ciało znamy z rysunków Daniela Chodowieckiego. Nie poprzestawał na tej jednej niewieście. Kiedy zaciekawiony oglądał przez okno swego pałacu procesję w Boże Ciało, lud stolicy podziwiał swego prymasa otoczonego całym wianuszkiem dziewcząt.

Podoskiego na prymasa wypromował ambasador moskiewski Repnin, który zwykł był określać go jako swojego sekretarza. Nade wszystko kochał Podoski wydawać pieniądze i czynił to z tak dużym powodzeniem, iż mimo znacznego moskiewskiego sponsoringu nieustannie popadał w długi. W Warszawie słynne były jego wystawne imprezy urządzone w sam raz w czas postu. W ich trakcie prowadzono wolteriańskie dysputy wyszydające dogmaty wiary i Kościół. Od 1771 r. w obawie przed uczuciami rodaków przebywał na stałe poza krajem, tłumacząc, że lekarze zalecają mu dużo świeżego powietrza. W 1776 r. wybrał się do Marsylii, gdzie znowu narobił długów. Gdyby nie interwencja rządu Francji, zostałby za nie zamknięty w więzieniu. Zabrnąwszy w tarapaty, na koniec otrul się w 1777 r. wraz z kobietą, która była towarzyszką jego życia.

"Niedołężstwo, nierozum i lekkomyślność..."

Rekapitulacji, z pewnością przesadnej, ale wskazującej na pewne cechy ówczesnej elity Kościoła, dokonało wielu pisarzy. W 1778 r. odwiedzający Rzeczpospolitą Johann Bernoulli dziwił się: "Szczególnie zabawny był widok biskupów, których większość składała się z eleganckich, młodych i pełnych kokieterii galantów arystokratycznej proveniencji, zdających się współzawodniczyć wzajemnie wytwornością i kosztownością kościelnych strojów, zdobnych w najprzedniejsze koronki, oraz kunsztownym trefieniem swych krótkich fryzur". Kossakowski wspominał o niemiłym wrażeniu wyniesionym w młodości z obrad biskupów: "Więcej jeszcze zostałem zadziwiony, poznaawszy, jako żadnej nie było jedności, ochoty do pracy i posługi kościoła, jako i bacności na władzy fundusz, wdzięczności dla dobrze czyniących, a jedyna gorliwość o rzeczy dobre była tam, gdzie chodziło o umieszczenie prowentu przypadającego na osobę (prywatnych dochodów biskupich - Dł)". Po swoim przyjeździe do stolicy z prowincji zgorszył się na salonach królewskich publiczną rozmową o biskupach: "który do której umizga się, który ma religię, albo nie ma".

Johann Kausch stwierdził: "Kiedy obserwuje się w Polsce kontrast między niskim stanem etyki a pełną obłudą mniszą pobożnością, tak zwłaszcza częstą u starszego pokolenia szlachty, musi się doznać ostrej niechęci do kleru". Dodawał, że nie radzi żadnej dziewczynie zostawać sam na sam bodaj przez kwadrans z najpobożniejszym polskim młodzieńcem. Jak to wreszcie podsumował znakomity historyk Aleksander Brückner: "Od prymasów do plebanów oskarżano wszystkich o niemoralność życia, o zbytki, o chciwość nadmierną, o wysługiwanie się królowi czy Rosji". Inny historyk Władysław Smoleński przypominał, jak biskup Teodor Czartoryski, gdy go chciano rybą w post uraczyć, obruszył się, że czegoś takiego nie dałby nawet swemu psu do jedzenia. Na koniec ksiądz Walerian Kalinka, nie wątpiąc w realność zdrady i sprzedajności, słusznie zauważał, że to nie one były przyczyną upadku Polski. Jak pocieszał, pensje brane od zagranicznych dworów były zjawiskiem haniebnym, ale zdarzały się nie tylko w Polsce. "Przyczyny klęsk naszych i upadku mniej brudne są, ale głębsze. Zaprawdę, nie potrzebowano koniecznie sprzedajności tam, gdzie u dobrych nawet tyle było niedołęstwa, nierozumu i lekkomyślności, gdzie u gorszych tyle zawiści i uporu...".

Zaznaczmy jeszcze, że mówimy o eksponowanych i licznych, ale tylko przedstawicielach Kościoła, którzy podobnie jak dzisiaj - przypomnijmy znane słowa - stanowili lustrzane odbicie społeczeństwa. Pruski minister Karl Otto von Voss pisał po wybuchu insurekcji w Wielkopolsce, 5 września 1794 r., że poza jednym godnym zaufania biskupem poznańskim, hrabią Ignacym Raczyńskim, księża biorą masowo udział w powstaniu kościuszkowskim i je wspierają.

Zagłada polskiej córy Kościoła

Pojawia się pytanie, jak w XVIII w. traktowano kwestię agenturalnej pracy dla wroga ojczyzny. Trudno powiedzieć, by stan prawny nie był klarowny. Już w 1588 r. do kategorii zbrodni obrazy majestatu (*crimen laesae maiestatis*) zaliczano bunty w porozumieniu z nieprzyjacielem, zdradzenie mu tajemnicy państwowej, naruszenie międzynarodowego przymierza. Wobec nagminnej praktyki brania pieniędzy od obcych dworów, w 1776 r. dołączono do tej listy osobny zakaz brania pensji od rządów cudzoziemskich z zamiarem zdradzenia ojczyzny. Okazało się jednak, że można brać i bez tego zamiaru, więc dopiero ustawa z 1791 r. kwalifikowała taki czyn, z zamiarem czy bez, jako zdradę.

Sprawa więc była od dawna jasna. A jednak, jak donosił swojemu władcy poseł pruski Lucchesini w 1789 r., "Polacy słuchają tylko przy stole i szklance" i "nic bez pieniędzy nie da się zrobić". Biskupa Skarszewskiego przesłuchiwali też sędziowie całkiem dla nas zrozumiale, gdy go pytali: "Brać prezenta od dworu, który nas rozszarpał, sądzisz, że rzeczą nie już z etykiety, lecz z uczciwością zgodną?". A publicysta i ksiądz Kazimierz Hoszkiewicz wołał w tym czasie: "Dosyć zdrady, dosyć wiarołomstwa, dosyć tego bezczelnego wstydu, jakim źli Polacy spotwarzyli swoją ojczyznę!".

Osobliwym szyderstwem historii był fakt, że najsilniejsze protesty przeciw pierwszemu rozbiorowi Rzeczpospolitej wyszły nie ze strony opiekuńczej Stolicy Apostolskiej, ale od pogańskiej Turcji; w walce z nią byliśmy nominowani na przedmurze chrześcijaństwa. Już Albert Sorel, Władysław Konopczyński i Szymon Askenazy wiedzieli, że w 1768 r. rosyjskiego ambasadora Turcy zwyczajowo uwięzili w zamku siedmiu wież i zaczęli wojnę polską. Niestety, popychająca sułtana do

wojny Francja sama cofnęła się na koniec przed sojuszem z poganami, co odbyło się, jak pisał Albert Sorel, za wpływem pięknej i pobożnej Joanny du Barry, metresy króla Francji. Potęga Francji zaczęła się pod znakiem Joanny dziewicy, upadek przypadł na czasy Joanny dziwki - mówili Francuzi.

Watykan przeszedł nad zagładą polskiej córy Kościoła do porządku dziennego. Nuncjusz papieski Garampi powiedział tylko Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, że "o ile wystąpiłby przeciwko rozbiorowi, obraziłby i rozgniewałby dwór wiedeński". Arcypobożna cesarzowa Maria Teresa cieszyła się w Rzymie sympatią, a że przy okazji była władczynią mocarstwa, zmuszała również do szacunku. Rzeczpospolita była zbyt słaba, aby móc się rozgniewać na kogokolwiek. Nuncjatura w Warszawie uznawana była w Rzymie za placówkę poślednią - nuncjusze wracający ze służby w Wiedniu dostawali kapelusze kardynalskie, po powrocie z Warszawy miało się figę. Także po drugim rozbiorze, na błagania posła polskiego o interwencję u dworów katolickich, papież rzymski uznał, że byłoby to dla Watykanu zbyt niebezpieczne.

Mieszane uczucia wywoływały w Rzymie nawet reformy Sejmu Wielkiego. Nieustannie molestowano Polskę, czy nie wiodą one aby do uszczuplenia praw Kościoła katolickiego. Watykan obawiał się pomysłów uniezależnienia się od Rzymu i utworzenia polskiego Kościoła narodowego. Polscy reformatorzy zaczęli kontestować fakt, że zasiadający w senacie Rzeczpospolitej biskupi wybierani są poza granicami kraju. Odrzucenie kodeksu Andrzeja Zamoyskiego - a więc generalnego unowocześnienia prawa - nastąpiło przy walnym udziale nuncjusza Archetti, który pracował tu ramię w ramię z moskiewskim ambasadorem Stackelbergiem. Król postępował jednak roztropnie i uzyskał od Piusa VI (1775-1799), pomimo wstrętnych skojarzeń z rewolucją francuską, breve w 1791 r., błogosławiące dzieło konstytucyjne i polskiego monarchę (Breve to pismo papieskie komentujące aktualne problemy Kościoła).

Bez żalu jednak powitał biskup rzymski klęskę Rzeczpospolitej w wojnie z Rosją w 1792 r. i jak wcześniej chwalił króla za konstytucję, tak teraz przyklasnął jego przystąpieniu do targowicy i dał jej swoje błogosławieństwo. Nuncjusz warszawski Ferdynand Saluzzo zreflektował się teraz nagle, że reformy Rzeczpospolitej były niefortunnym pomysłem, ponieważ irtują ościenne mocarstwa. Z przystąpienia Stanisława Augusta do targowicy wyciągnął papieski poseł wniosek, że wojsko polskie wysłać będzie można na wojnę przeciw bezbożnym rewolucjonistom. Zaraz też Generalność Konfederacji swym wysłannikiem do Rzymu mianowała biskupa Michała Romana Sierakowskiego, obficie zaopatrując go w gotówkę. Poselstwo się jednak nie odbyło, bo pieniądze wraz z pastorałem przegrał biskup w karty. Pastorał wykupiła słynna piękność Zofia Wittowa i oddała go Sierakowskiemu z aluzyjnym futerałem wyłożonym kartami do gry.

Zofia, druga żona Szczęsnego Potockiego, na którą zdrajca-targowiczanie dostał dyspensę od papieża, sama pasjami grywała z biskupem Sierakowskim w karty. Przy okazji wspomnijmy, że inny Sierakowski, Wacław, arcybiskup lwowski, witał pierwszy rozbiór Te Deum i dziękczynnymi nabożeństwami błogosławił Austriaków, bo "po pięciu latach niepokoju, zaburzeń i wyniszczania kraju zawiniliśmy wreszcie do bezpiecznej przystani, gdy Najjaśniejsza Pani, apostolska Monarchini, Maria Teresa, rządy tego kraju objęła, za co Bogu dziękować i za nią modlić się trzeba".

Maciej Loreć, uczeń Szymona Askenazego, podsumował stosunek papieżstwa do upadku Polski w słowach surowych. Zdezorientowany, pochłonięty jedynie myślą o obronie przywilejów kleru, Pius VI gotów był wspierać państwa protestanckie i prawosławne, gdy naokoło "zapadały się państwa i monarchie katolickie".

Wybuch insurekcji kościuszkowskiej przywitał w Warszawie nowego nuncjusza watykańskiego Wawrzyńca Littę, którego brat był wcześniej carskim admirałem. Insurekcja nuncjusza przeraziła. Widział w niej jedynie widmo jakobinów i klęskę religii katolickiej w Polsce, co było zupełnym nieporozumieniem. Polacy żarliwie modlili się do tego samego Boga co papież, ale za zwycięstwo jakobinów, których uważali za swoich jedyńskich sojuszników. Nadto poseł polski w Rzymie kardynał Tomasz Antici uspokajał papieża nie bez racji, ale osobiście jak na polskiego ambasadora. Zapewniał, że nie ma powodów do niepokoju, bo powstanie w Polsce to nieszkodliwa, pozbawiona szans ruchawka, która zaraz upadnie. Łatwiej to nam będzie zrozumieć, kiedy przypomnimy list Anticiego (ur.1731) do Katarzyny II z 18 lutego 1795 r., w którym dopominał się o wypłatę zaległej pensji.

Ów sprytny włoski łobuz prowadził przy Stolicy Apostolskiej osobiwe przedsiębiorstwo handlowe, które Maciej Loreć nazywa "dyplomacją dla zaspokojenia żołądka". Wynajmował swoje usługi równoległe różnym państwom. Razem z Rzeczpospolitą reprezentował w Watykanie interesy Bawarii i Kolonii, a bardzo podniecała go myśl o postowaniu Rosji, od której też brał nieoficjalnie najwięcej. W 1772 r. pojawił się w Berlinie, gdzie zaoferował swoje usługi Fryderykowi II i do tytułów kardynała i markiza dołączył tajnego radcę pruskiego.

W każdym razie papież przyjął potulnie likwidację przez Prusaków nuncjatury papieskiej w Warszawie. 16 grudnia 1795 r., zachęcany przez Wawrzyńca Littę i agenta pruskiego w Rzymie Ciofaniego, wydał breve potępiające insurekcję kościuszkowską jako przedsięwzięcie bezbożne i nakazał, aby biskupi zalecali ludowi wierność i posłuszeństwo królowi pruskiemu. Sam Littę wydał w 1796 r. pismo okólne, aby przy spowiedzi i nauce katechizmu duchowni nakłaniali wiernych do posłuszeństwa i uległości wobec Prusaków. Przyłączył się do niego wypromowany na arcybiskupa gnieźnieńskiego przez Fryderyka Wilhelma III Ignacy Raczyński.

Jak powiada znawca historii Kościoła Mieczysław Żywczyński, papieżstwo schyłku XVIII stulecia było w nie lada kłopotach, a nie miało sternika, który potrafiłby sprostać sytuacji. Nie tylko rewolucjoniści, ale nawet absolutyzm oświecony wszędzie odsuwał Kościół od spraw świeckich, do których ten zdążył się przez stulecia przyzwyczaić. Oszolomienie wzbudzało rozgromienie jezuitów przez monarchów europejskich, Habsburg Józef II był dla duchowieństwa nie bardziej łaskawy od Francji. Tak się tłumaczy brak zainteresowania papieża dla zgonu polskiej córy Kościoła. Trudniej wytłumaczyć postawę rodzimych biskupów, która dla części z nich zakończyła się na wieszadunku w maju i czerwcu 1794 r. Wieszadunkiem proponował nazywać szubienicę ojciec języka polskiego Samuel Bogumił Linde.

Wzniosłość i podłość

Trzeba powiedzieć, że obca agentura w Kościele XVIII w. była tylko poważną rysą na splątany obrazie tej instytucji. Z Kościoła wyszedł cały szereg reformatorów oświeceniowych, którzy, na schyłku jej istnienia, wyprowadzali Rzeczpospolitą z kręgu sarmackiego kołtuństwa i zacofania epoki saskiej. Są to same wielkie nazwiska polskiej historii, od Hugona Kołłątaja przez Stanisława Staszica, Grzegorza Piramowicza, Marcina Poczubę, Adama Naruszewicza, Karola Wyrwicza, Michała Poniatowskiego (stał na czele Komisji Edukacji Narodowej) po Ignacego Massalskiego, który obok haniebnych kart w życiorysie miał wielkie zasługi w krzewieniu oświaty wśród ludu.

Nazwiska można by mnożyć. Przedwcześnie zmarły historyk Łukasz Kądziała napisał biografię zdrajcy, wprawdzie nie duchownego, Fryderyka Moszyńskiego, w której wskazywał, że był on zarazem paradoksalnie gorącym patriotą i znakomicie wykształconym mężem stanu, który pogodził się z zależnością wobec Rosji uważał za cenę konieczną do zapłacenia za gruntowne reformy wewnętrzne. "Gdyby żył w ówczesnej Austrii albo Saksonii, z pewnością zajęłby należne mu miejsce w rozbudowywanej administracji tych państw" - stwierdził. Podobnie było z wielu duchownymi. Ich zasługi na polu propagandy oświeceniowej (poprawa sytuacji chłopów), nauki, edukacji i modernizacji kraju w ogólności sprawiły, że ginęła Polska w 1795 r. jako kraj, który wydobywał się z upadku i w trakcie odrodzenia został zamordowany, a nie jako "chory człowiek Europy", który ośmieszony upadł dzięki własnemu niedołęstwu i winom.

A tak to starali się fałszywie przedstawić zaborcy, wśród których najzręczniejszą propagandę antypolską prowadził władca Prus Fryderyk II. Ukazywał się światu jako władca oświecony i nowoczesny, przeciwstawiając sobie zakute sarmackie łby (rzeczywiście ich u nas nie brakowało), które nie są w stanie sobą rządzić. Jeżeli dzisiaj możemy powiedzieć, że nie ginęliśmy w hańbie, to w dużym stopniu dzięki ludziom Kościoła. Tak więc powtórzmy za Adamem Michnikiem: "Płatanina wzniosłości i podłości, mieszanina bohaterstwa i nikczemności, ironia skrywająca patriotyzm i patriotyczny sztandar skrywający sprzedajność i zdradę - oto nasze dzieje".

Dariusz Łukasiewicz

Autor jest docentem w Instytucie Historii PAN, profesorem Wyższej Szkoły Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu.

